ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 25 listopada 1922 roku. № 47.

Tadeusz Miciński.

Po latach niepewności nadeszła do Warszawy tragiczna wieść, iż twórca „Bazilissa Teofanu" został zamordowany przez chłopów białoruskich. Całe życie piastował w swojem sercu sen o zbrataniu ludów słowiańskich. Podczas wojny był gorącym rzecznikiem zlikwidowania sporu między Polską a Rosją. Gdy wojska rosyjskie musiały ustąpić z ziem polskich — Tadeusz Miciński dobrowolnie ewakuował się do Rosji, by słowem żywem i wpływem moralnym nieść myśl o wyjarzmieniu Polski. Nie dowierzał Niemcom. Wszystkie swoje nadzieje położył przy odezwie Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza. Liczył na wielkoduszność Francji, Włoch i Anglji. Pierwsza rewolucja rosyjska nie zachwiała go w wierze w możność współpracy polskiej z postępowymi działaczami z pod sztandaru Kiereńskiego. Dopiero rewolta Trockiego i Lenina postawiła go wobec krwawego widma moskiewskiej topieli. Nie pomogły słowa Chrystusowe. Nie słuchał go już nikt. Padł w obronie kultury, zamordowany przez tych, którym niósł piękną wieść o miłości i przebaczeniu. W poezji polskiej był jednym z dostojnych purpuratów. Na wieść o śmierci twórcy „Xiędza Fausta" — dajemy artykuł pióra p. Hanny Zaborskiej o jego twórczości, by pokazać, jakiego rodzaju człowieka i artystę straciła nasza literatura.

Tadeusza Micińskiego nie zrozumiało i nie oceniło jego pokolenie. Z pozostałych po nim książek rozszedł się tylko „Xiądz Faust" — skonstruowany najprzezroczyściej, najłatwiej dla szerokiej publiczności. Krytyka literacka — cóż mówić o krytyce przedwojennej, opartej przeważnie na przyjacielskiej wymianie usług, lub na kombinacjach partyjno-społecznych, nie mających nic ze sztuką wspólnego?

Cóż mówić o stosunku krytyki do takich poetów, jak rozwichrzony włos komet, miotający się wśród pożarów kosmicznych po obłędnych orbitach — do takich poetów, jak Miciński w okresie zwycięskiego nawrotu realizmu? W okresie tryumfu Weyssenhoffów—marnujących swe malarstwo przyrody i talent na opisywanie beznadziejnych mielizn duchowych lub apoteozę idei swej partji?

Micińskiego ceniono, wyczuwano potężny rozmach tego ducha, tak wzniesionego ponad szarzyznę naszych dni — ale go nie rozumiano. Zostały po nim rękopisy, których wycofaniem z Bolszewji zajęło się Ministerjum Spraw Zagranicznych. Zostały rzeczy nigdy nie wydane (Rabinowa noc w Ateneum Cezarego Jellenty 1909 rok). Dopiero całość tej spuścizny pozwoli ogarność wielką indywidualność pisarza, który nie troszczył się nigdy, aby jego utwory były do szerokiej publiczności dopasowane i nie transponował symfonji wichrów na fortepian w kinie.

Współczesne pokolenie poetów, nie mające własnych oryginalnych idei twórczych, będące słabem echem zagranicy, tak szalenie mało produktywne, jakby wszystkie powojenne niedokarmione talenty zachorowały gremjalnie na anemję, powinno wzmódz swą twórczość, zasilić swą krew bledniczą nawiązaniem do wielkiej epoki lub wielkiej indywidualności twórczej. Taką indywidualnością jest Miciński, który pod wielu względami był prekursorem obecnej doby literackiej. Jak wykazałam to w artykułach o Micińskim w „Przeglądzie Wieczornym", był on futurystą w swej gloryfikacji wynalazków genjuszu człowieczego i życia aktualnego. Był podobny do współczesnej kapryśnej mieszaniny różnych elementów w poezji współczesnej, egzotycznych, branych z najprzyziemniejszej rzeczywistości, z dalekich krajów, z praktyki wielkiego miasta i w łączeniu ich w jeden stop uderzających swą nowością wartości. Wreszcie zwracał się w swej poezji do pierwiastków ludowych, jak czyni to obecnie grupa „Ponowy". Wpływ tych pierwiastków znać na niektórych wierszach ze zbiorku „W mroku gwiazd".

Twórczość Micińskiego robi wrażenie olbrzymiej, zapadającej się w otchłanie Atlantydy, chaosu lecących z urwisk lawin, spadających z bezmiarów kosmicznych meteorolitów, rzek płomiennej lawy, spalających w swych wężowiskach straszliwych bory ponadludzkich sigillarji. Tchnienie ogromu i potęgi jest w pieśniach druidycznych tego człowieka, który nigdy nie stał na ziemi, a nawet troskając się o nią w imię wielkiej miłości, zlatywał ku niej na skrzydłach bajecznych gryfów.

Bo w „Xiędzu Fauście" Miciński dowiódł, że potrafi ogarnąć, zrozumieć, dotknąć dłonią zagadnień realnych — ale różni się tem, że bijąc czołem przed nauką, nigdy nie uczyni jedynem bóstwem bogini Rozumu. Laboratorjum — tak—ale obok niego trzeba zbudować ołtarz — symbol życia na wyżynach.

Niesłychane bogactwo i piękno stylu, niesłychana pełnia i potęga obrazów robią z Micińskiego twórczości Golkondę skarbów niewyczerpanych. W najmniejszej ze strof

jest tyle materjału poetyckiego i myślowego, że współcześni rozszczepiacze włosów mogliby z tego dziesięć utworów wykroić.

Swoista forma Micińskiego jest jego własnością twórczą. Idee jego rozwijają się po linji wykreślonej przez Słowackiego. Już w studjach „Do źródeł duszy polskiej" (1904) podejmuje niektóre idee mesjaniczne. Tak samo, jak Słowacki, który czuł pokrewieństwo wszechsłowiańskie, czuł te prądy podziemne, które wlała w Polskę połączona z nią Ruś. Miciński marzy o świecie aryjsko-słowiańskim, który ma się w nowej epoce urodzić. Słowacki odczuwa dziedzictwo matek-Rusinek swych Bolesławów, tragedję Nowogrodu, zmaganie się z duchem mongolszczyzny księcia Michała Twerskiego, rozumie ducha Ukrainy w „Srebrnym Śnie Salomei". Miciński w książce „Do źródeł duszy polskiej" marzy o utworzeniu mocarstwa azjatycko-europejskiego. Na tronie jego ma być wódz wszechsłowiańsko-indyjski, głęboki, groźny, jak Panagja bizantyjska—tronujący wraz z Bogiem. W „Kniaziu Patiomkinie" Miciński doskonale odczuł duszę Rosji, pełną dążenia do Boga i nurzania się w rozpuście, gwiazd i błota, bezwoli i niewolniczości, okrucieństwa i mroku. W „Bazylissie Teofanu" Swiatosław sięga po djonizyjski, słoneczny pierwiastek wszechwiedzy greckiej, usymbolizowany w Teofanu. Rosja, którą Miciński poznał w osobie Mereżkowskich, Biełych, Iwanowów—wydawała mu się tą zdobywczynią Djonizosa, jaką chciał widzieć Miciński całą Słowiańszczyznę. Tę samą rolę „słoneczną natężoną wolą wzbicia się jaknajwyżej" przypisywał Miciński Polsce.

Jak Słowacki w „Samuelu Zborowskim" w Luciferze symbolizuje cierpienie i wiedzę, pracę i nieukój buntowniczy, będące dźwignią ewolucji świata, tak i Miciński w Luciferze uosabia tajemne siły okultystyczne, wiedzę naukową, pierwiastek buntu przeciw światu istniejącemu, światu zgniłych moczarów i glinianych powag, Lucifer jego—to zaczyn śmiałych marzeń, smagających ludzkość, jak bicz, by szła naprzód i prześwietlała się.

Słowacki w wierszu „Do autora trzech psalmów", w „Księciu Michale Twerskim", w postaci Popiela w „Królu Duchu" przedstawił oczyszczenie ludzkości przez krew. Tę samą ideę podnosi Miciński w „Kniaziu Patiomkinie", w „Xiędzu Fauście", w „Bazylissie Teofanu", która w tańcu 40 bram zgładza ze świata wszystko podłe, nikczemne, skarlałe... Tylko że Micińskiemu nie wystarcza krwawy chrzest ludzkości, musi zaświecić sumienie. To będzie dopiero momentem zbawczym.

Ale lucyferyzm i prometeizm Micińskiego jest jego najgłębszą tragedją: jest to człowiek, mający w sobie „źródło wiecznych wiar". Ale zamiast zaczerpnąć z głębin swej intuicji, stara się on dowieść Boga na drodze naukowej. I oto odbywa się straszliwa walka. Formułuje ją poeta, że jedyną prawdą na ziemi jest „jaźń na pustyni kuszona przez nicość".

Obłęd nicości i wiara w najniezłomniejsze prawdy ducha nieśmiertelnego... Wśród tego zmagania się w „Kniaziu Patiomkinie", w „Bezylissie" stawia Miciński, jako aksjomat, „ja" nadczłowiecze, potężne w swym agnostycyzmie, lucyferyczne w obalaniu starych wartości, wyniesione ponad mierzwę tłumu ludzkiego...

Nadczłowiek, który wyszeptał nad otchłanią: nicość — i nie zachwiał się, i nie runął... Ale to są tylko fazy. Przychodzą znów momenty wiary, pokłonu przed Budownikiem świata, przygarnięcia się do Chrystusa słonecznego.

Stosunek do postaci Zbawiciela u Micińskiego jest zawsze ten sam: głęboko miłujący. Powiedział o Nim mnóstwo cudnych słów poezji. Lucyfer jest przeciwstawnością. Miciński obraca się w sferze idei mesjanicznych, które zapowiadały połączenie wszelkich przeciwstawności, zlanie się ich w nową, wyższą jedność. Ciało i duch, rozum i wiara, historja i proces eschatologiczny miały przez Parakleta połączyć się w nową jedność. Tak samo proces ziemski, badawczy, proces ewolucji przez złe i ból, proces lucyferyczny ma aię zlać z procesem przeduchowienia bezwzględnego, z procesem anhellicznym.

„Czeka nas wszystkich Chrystus z świetlanem błogosławieństwem i Przemienieniem w istotnych dziedziców kosmosu" — pisze Miciński w „Xiędzu Fauście". Kiedy Andrzej Niemojewski za przykładem Morozowa chciał zrobić z Chrystusa fikcję zodjakalną, Miciński napisał książkę, zwalczając ten pogląd.

Obrazy artystyczne Micińskiego, czerpane ze świata od Tatrów i Himalajów, od polskiego morza do borów Litwy, od doświadczeń chemicznych do mlecznych dróg, ujawniają siłę twórczą poety. Rozbija on świat na części, niszczy między niemi istniejące stosunki. Wprowadza między elementami świata nowe połączenia, nowe zestawienia, nową przestrzeń i czas. Rzeczywistość nie więzi go w najmniejszym stopniu. W „Nietocie", w „Xiędzu Fauście" czy to przez siły medjumiczne, czy to przez inne energje wszechświata dzieją się rzeczy nierealne.

Rzeczywistość została podeptana przez samowolę twórczą poety.

Ale na tem tle nierealnem tem silniej, tem bezpośredniej wielkim krzykiem odzywała się prawda duchowa, która nie słuchała wstydliwych osłon codziennej rzeczywistości, by mówić o sobie. By wykrzyczeć swoją potężną prometeiczną wolę i swoją bezgraniczną tęsknotę, łkającą w gwiezdnym djademie na skrzących się lodozwałach, jak cień olbrzymi nad ziemią.

Przyszedł czas, gdy na mogiłę poety przyjdą wszyscy, by złożyć na niej ostatni, najbardziej pożądany, najtrudniejszy dar: zrozumienie.

Hanna Zaborska.

TADEUSZ MICIŃSKI.

HYMN.

Opatrzność —
to witraże duszy rozwarte
w nieskończony świat...
zamek, mający nigdy nieuśpioną wartę;
to śpiew Jaźni-muezzina,
wołający: — baczność; —
Widok na buchające wulkany;
na ruiny miast, na wzdęte w tajfunach Oceany;
na lasy ciemne, gdzie jarzą się ślepia tygrysa.
Lecz okrutniejszy, niż tygrys, człowiek człowiekowi kat...
Nieznaną jest złego wszechgłębina
i tragicznych pęknięć w sercu rysa.
Jak strasznemi na morzach polarnych męczarnie,
lodowe góry i śnieżne cyklony,
nim, przebywszy Mroku wiecznego regiony,
ujrzym błyskające wśród portu latarnie!..
Opatrzność:
filozoficzny kamień mędrca Astrologa,
czytającego w gwiazdach, w otchłaniach i w duszy...
to ostrzeżenie, że każda chwila, jakby szafir, droga;
Zabija nas woli osłabłej rozpaczność.
Więc jak Herakles więzy Prometeja kruszy
i spełnia każdego miesiąca
czyn bohaterski — tak i w naszej Jaźni
musi dokonać się praca wznosząca
o jeden stopień wyżej nas — w otchłannej kaźni.
Wykuwał Baldur w islandzkiej kuźnicy
każdego dnia promienne Słońce.
Bóg, unoszący się nad mrokiem Tajemnicy,
zawołał nad przeraźliwym potokiem Nicości:
— Wy, myśli mojej gońce,
w lodowym świecie zbudźcie Raj Miłości —
wśród gór wniebowziętych i kwitnących kiści...
Hej, światło mego serca — zijścij się —
Zijścij; —
Czuwali Wrotni-Magowie
w ludzkości mrocznem zamczysku,
i w piramidach, zarówno jak w słowie,
zbierali Mądrość, jakby w soczewki ognisku.
Albowiem wokół jest Bytu obosieczność
i z olbrzymiej spadzistej przełęczy
widzimy śmierć pod łukiem tęczy.
Albowiem Wieczność
jest tylko chwilką
tnącego wahadła między Tak — i Nie!
Albowiem długą noc niewiedzy,
krótkie zaś Mądrości Dnie.
Iść musi Mądrość wąską ścieżyną na miedzy,
by wieczorem zajść na wirch wniebowzięcia,
gdzie żyje BÓG.
Nie wiodą tam żadne pojęcia,
nie wstąpi myśl, nie dosięgnie łuk
napiętej woli giganta!
A jednak — jest nam Bóstwo bliższe,
niż miłość wierna Beatrix do Danta...
Serca nam płoną w Nim,
jak lampy pielgrzymów na wichrze.
Do Wieczernika wchodzą apostoły
na krańcach miasta w dom cichy Sumienia,
i mówią o nowinie, tak z głębin wesołej —
a oto Pan wchodzi wśród gwiazd zachwycenia!
Najświętsze nastają komunje
Twej duszy — z upragnień wysokich męczarnią:
Nadwiedzy ziarno —
przeobrażony Mrok w cudotwórczej łunie;
Idź wtedy Rycerzu Świątyni,
idź jasny Templarjuszu,
wśród miast przeklętej pustyni,
gdzie rządzi Szatan w strojnym pióropuszu.
Idź, gotów do boju,
z głębiną złego w Kosmosie,
z tęczą swej Woli — w Chaosie;
Iść musisz, jak Adam, wśród znoju,
w samotni i w nocnej udręce.
Walcząc z smokami i z gadem
w pustyni głodowej i w zimnie —
masz zginąć nad zła wodospadem.

Wtem, duchy mgławicoworęce
unoszą cię w nagłym hymnie,
w świętej Teresy ekstatycznej glossie.
Czy też w zwycięstwie nad ziemią Rozumu,
w twym alchemicznym tyglu błyśnie cud Radiumu.

Teraz: my żyjem na strasznym Wulkanie —
gnie się pod nami ziemia, wkrąg błędne ogniki...
Wróg tysiącletni, dziki,
przyćmił nam Zmartwychwstanie.
Znów noc nad Polską. Wytężmy swe ramiona—
teraz — albo nigdy — Cud;
Niech wstaną zmarłych kości,
niech spełnią się Wieszczów znamiona.
My, tytanów ród,
strącony w głębię ciemności, —
wykujmy Jasną Górę,
wirch śnieżny w Jutrzniach z purpury,
swój Olimp — swe Tatry — swój Lud.

Prosimy cię, Opatrzności,
o pomoc w tworzeniu Warowni,
gdzie bastjony wykute z miłości,
gdzie Moc jest olbrzymia w prochowni.
Ofiara — musi nas, żołnierzy,
złączyć pod jednym sztandarem —
jak w niezdobytej wieży —
przedzielonych od podłości — jarem.

Prosimy Cię, daj nam odeprzeć szturmujący nas Ocean
tysiącletniego Wroga;
Prosimy Cię, Bohaterze Ty nieustający,
o zmysł czucia dla odchłani,
o instynkt dla Wieczności.
Prosimy o zdobywczą wolę, o słoneczny pean;
o zakucie na Twoim okręcie,
nim zlądujem do przystani...
Prosimy Cię, Ty imię tajemnicze Boga;
daj nam Siebie —
Zwycięzco — na krzyżu pogromion;
Ty, zorze lazurów przeczyste,
Wieczna Hostjo w żywem niebie,
Burzo świata, Ciszo i Magów Mądrości —
jeden z Trójcy, nam najbardziej uwidomion —
CHRYSTE!

POŻOGA.

Dorobek kultury naszej na kresach został doszczętnie niemal zniszczony przez rewolucję rosyjską. Czego nie rozgrabili Petlurcy, zabrali bolszewicy. Najwięcej jednak używało zbałamucone chłopstwo. Rozpasanie instynktów doszło tam do jakiegoś zapamiętałego szału. Ziemiaństwo kresowe nie czyniło źle swoim Paraszkom, Trofimom. Przez wieki pracy zżył się tu chłop z panem; tak przynajmniej wyglądało na zewnątrz. Złudzenie to było powodem wielkiej katastrofy, w jaką wepchnął tych naszych ludzi krwawy zalew bolszewickiej rewolucji. Tyle wieków żyli tu bezpiecznie, dostatnio. Tyle wieków siali ziarna zachodniej kultury. Gleba ta okazała się niewdzięczną. Zniszczenie było jakimś aktem zemsty bezmyślnej, plugawej. Z szuflad starych pięknych mebli robiono dla prosiąt żłobki. Stare arrasy cięto na kołdry. Porcelanę tłuczono. Obrazy wdeptywano w błoto.

Ile pięknych istnień padło wtedy — zliczy to może kiedyś sam Bóg. Nie dojdzie do tego żaden sąd ludzki. Któż bowiem sprawdzi, kiedy, kto i jak został zamordowany, gdy zbuntowana tłuszcza naoślep tratowała wszystko i wszystkich. Nawet popi nie ustrzegli się tego złego losu. A byli to przecież kiedyś mężowie zaufania tego tłumu. Jedna łączyła ich z nimi wiara. W chłopie ruskim mocniejszą jednak stała się ślepa niszczycielska siła, niż wiara.

Kresy przez trzy te lata przeżyły jakiś straszny dur zbrodni, gwałtu i głupstwa. Obraz tego okresu wiernie maluje p. Zofja z Kossaków Szczucka, która w dramacie tym brała czynny udział. Ile razy truchlało jej serce i wyciągały się bezsilnie ramiona, świadczy najlepiej książka, którą obecnie rzucono na rynek księgarski pt. „Pożoga". Książka ta jest pamiętnikiem przeżyć p. Szczuckiej. Każda ze stronic przepojona jest grozą. P. Szczucka trwała długo w swojej posiadłości w okolicach Starokonstantynowa, jak żołnierz na placówce, broniąc mienia i kultury. Musiała jednak uchodzić z pod własnego dachu. Była to walka z zalewem, z żywiołem. Ratunek nie przychodził znikąd. Łudzono się Entente'ą. Czekano na wojska Rzeczypospolitej. Tylko szaleństwo partyzantów Jaworskiego przez jakiś czas trzymało w ryzach tłumy hajdamackie. Partyzanci byli solą w oku Niemców, Austrjaków, bolszewików, Ukraińców, wreszcie tłuszczy chłopskiej. A jednak potrafili z polską fantazją nieść pomoc. Nastawiali piersi mężnie. Póki trwali — umieli nakazać dla siebie szacunek.

P. Zofja z Kossaków Szczucka w książce swojej zbudowała im pomnik wieczystej pamięci. Jest to zapewne głos, który starczy za opinję wszystkich kresowych Polaków z Wołynia i Podola. P. Szczucka bowiem, jak widać to z jej książki, reprezentowała tu żywioł najbardziej kulturalny. Stare tradycje artystyczne Kossaków w jej duszy znalazły również godne siedlisko. Kresowa ta pani nie imała się nigdy pióra: gdy wzięła je do ręki, dała książkę, poza swoją prawdą faktyczną, niezwykle ciekawą przez talent narratorski i dużą kulturę uczucia. Jak pięknie umie ona pokazać życie dworu polskiego na Wołyniu! Jak plastycznie charakteryzuje ludzi, rzeczy. Ile rasy tkwi w jej zachwytach dla koni. Jak ona zna te swoje piękne stado rozswawolonych, ślicznych zwierząt. Miłość jej dla ziemi kresowej płonie purpurą czarownego zachodu słońca. Pisze przecież ona:

„Odejdziemy od tych ziem, ale przed odejściem—na wzniosłej górze, w ciszy serc bijących, ślubujemy wieczną wiarę i miłość tej ziemi. Ślubujemy jej powrócić, gdy tylko pierwsza możność powrotu nadejdzie,—ślubujemy jej pozostać wtedy aż do końca. Ziemio najmilsza mimo prześladowań, ziemio rodzona mimo traktatów, ziemio polska i ojczysta mimo planów partji, ziemio nasza — pomimo sądów cudzoziemskich".

Głos ten jest niezwykle znamienny. Świadczy on o zrośnięciu się psychiki ludzkiej z otoczeniem, z ziemią — a to jest mocniejsze od wszystkich chwilowych niepowodzeń. Z wartości duchowych, z tej topieli krwi i zniszczenia p. Szczucka potrafiła ocalić Dobroć i Odwagę. Mówi ona: „Z ludzkich rzeczy Odwaga i Dobroć — oto jedyne przymioty, mające wartość na tym świecie, prawdziwą, realną, nigdy nie zmniejszoną". Słowa te są najlepszem świadectwem poziomu kultury jej autorki. Nie każdego stać na taką mądrość. Na dnie duszy pozostaje osad po strasznych przeżyciach. A jednak p. Szczucka odnalazła w sobie wartości najdostojniejsze: Dobroć i Odwagę. Rzeczy te nobilitują jej każdy sąd. Wskazują odrazu, że mamy tu do czynienia z typem ludzkim, bardzo wysoko stojącym pod względem kultury uczuć.

Książka p. Szczuckiej byłaby beznadziejną, gdyby nie te piękne duchowe gesty. Ocalają one honor ziemiaństwa naszego kresowego. Umacniają nas w dawnej wierze, iż dwór polski na kresach nie stracił nic ze swojego dziejowego posłannictwa.

Kto umie kochać mimo krzywdę, kto niesie dobroć za zbrodnie— ten musi zwyciężyć. Jest w tem bowiem ziarno ewangeliczne mocniejsze w swojej plenności od zgrzytów tłuszczy. W tem jest również nadzieja dla Rzplitej.

F.

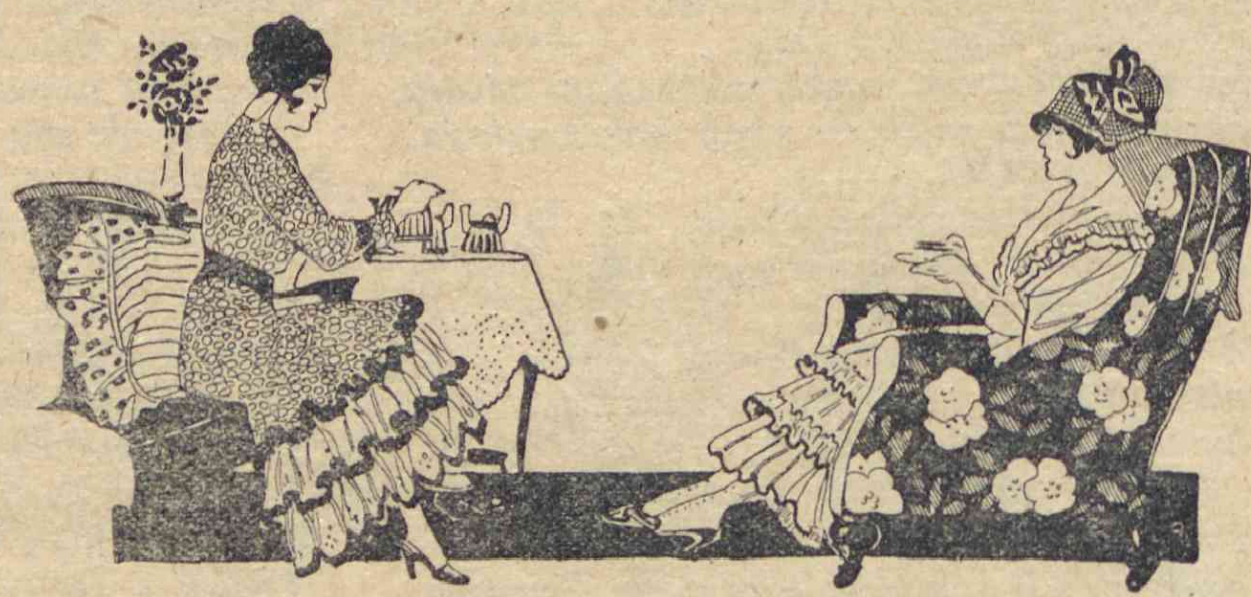

Ludwik Dumur. Powieść.

RZEŹNIK VERDUNU.

6)

Wolny przekład z francuskiego przez H. J. P.

W ciągu paru minut dom i park opustoszały. Wybuchy powtarzały się ze wszystkich stron. Jakieś drzewo zwaliło się strzaskane. Oślepiający słup ognia prysnął z tennisowego placu Kronprintza.

Gdzież była Julinka?

W chwili, gdy sam miałem schronić się do piwnic, ujrzałem z przerażeniem, że stoi sama jedna na tarasie z rękami, złożonemi na piersiach, nieruchomo, z podniesioną głową. Rzuciłem się ku niej.

— Na miłość Boską, Julinko!.. Życie twoje jest w niebezpieczeństwie!..

— Moje życie nic nie znaczy.

— Julinko, zaklinam cię, pójdź stąd.

— Nie pójdę.

— W takim razie, zostaję z tobą.

— Jak się panu podoba.

Nagle, ku niewysłowionemu przerażeniu, ujrzałem w jednem z okienek piwnicznych wstrętną twarz policjanta Kleina, który wpatrywał się badawczo w młodą Francuskę, podczas gdy po jej białej sukni, sprawiającej wrażenie widma na tle tej księżycowej nocy, dogasające płomienie ponczu ślizgały się błękitnemi odblaskami.

. . . . . .

Nazajutrz, zaledwie ochłonąwszy z nocnych wrażeń, Kronprintz przyjął w kancelarji sztabu dowódcę bataljonu Raynala, komendanta fortu de Vaux. Jego Cesarska Wysokość raczył mu wręczyć, na znak uznania dla jego bohaterskiej obrony, szpadę oficera francuskiego, znalezioną wśród łupów, poczem dzielny komendant został wysłany jako jeniec wojenny do Niemiec.

Wyszedłszy nietknięta z tej szalonej nierozwagi, jakiej dała dowód, stojąc na tarasie kasyna podczas bombardowania, Julinka wróciła sama do Dun w automobilu księcia. Czułem się coraz bardziej zbity z tropu jej dziwacznem postępowaniem i chwilami zadawałem sobie pytanie, czy ta przewrotna istota nie posłużyła się mną poprostu, aby się zbliżyć do Kronprintza.

Teraz, mając tę pewność, że, kiedy zechce, zostanie jego kochanką, nie miała powodu starać się o względy jego otoczenia, zwłaszcza tak mało znaczącej osobistości, jaką ja byłem.

A więc, straciłem ją!.. Ta myśl doprowadzała mnie do szału... Stracić ją, — ją, która przecież oddała mi się tak niedawno! Nie, to było nie do zniesienia!..

Postanowiłem rozmówić się z nią, zażądać wyjaśnień, i w tym celu czatowałem na sposobność, gdy będę mógł zostać z nią sam na sam choć krótką chwilę tam, w domu, bo w kasynie, gdzie ją przecież widywałem codziennie, było to niepodobieństwem.

Nadarzyła się wreszcie taka chwila. Spotkałem ją samą w ogrodzie.

— Julinko!..—rzekłem wzruszony, usiłując chwycić jej rękę, którą mi cofała. — Julinko!.. co to wszystko znaczy!.. Ja muszę...

— Och! proszę, tylko bez scen— przerwała.—Miałeś pan odemnie to, czegoś chciał, teraz już koniec.

— Julinko! nie mów w ten sposób. Rozdzierasz mi serce...

— Nie mam nic więcej do powiedzenia — rzekła chłodno. — Żegnam.

Podała mi rękę.

Ale ja cofnąłem się. Zobaczyłem na jej palcu pierścionek.

— Kto ci to dał? — zawołałem, oszalały zazdrością.

Popatrzyła na mnie filuternie i rzekła:

— Kronprintz.

— Kochasz go! — wykrzyknąłem zdławionym głosem.

I tu stała się rzecz nie do uwierzenia. Julinka osunęła się na poblizką ławkę i zaczęła się śmiać, jak szalona.

Patrzyłem na nią ogłupiony, nie pojmując, co ją tak zabawiło.

— Ha!.. ha!.. ha!.. nie! to nadzwyczajne!.. — wołała wśród wybuchów niepohamowanej wesołości.— Och! dawno się tak nie śmiałam!..

— Nie pojmuję ..—zacząłem dotknięty.

— Nie pojmujesz pan?.. No, to nie pojmuj... To mi zupełnie obojętne... Ale to nie przeszkadza, że to jest ogromnie komiczne.

I znowu zaczęła się śmiać w najlepsze.

— Ależ, ten pierścionek...

— A więc tak. Kronprintz mi go dał.

— Julinko!..—rzekłem z wyrzutem. — Jak mogłaś przyjąć ten podarunek?.. Ty, która nigdy nic odemnie wziąć nie chciałaś.

— To prawda — rzekła, poważniejąc nagle — nic jeszcze od pana nie dostałam. A więc, jeżeli chcesz, dasz mi coś.

— Co takiego?

— Coś, na co mam ogromną ochotę i co mi sprawi wielką przyjemność...

— Co? Powiedz.

— Rewolwer.

— Rewolwer?—powtórzyłem ze zdumieniem i trochę przestraszony.

— To pana dziwi? To przecież bardzo proste. Jak pana niema, jestem tu sama, jedynie z moim starym wujem i ciotką... Dom stoi na osobności i dzięki panu jest teraz zaopatrzony we wszystko... A o rabusiów nie trudno.

— Mogę ci postawić straż.

— Istotnie; ale to jeszcze nie wszystko. Odkąd pokazuję się, że tak powiem, z odkrytą twarzą, przypatrują mi się ludzie... I wyznam szczerze, że boję się...

— Któżby śmiał! — wykrzyknąłem.

— Co to można wiedzieć. Mnie się zdaje, że znaleźliby się tacy. Jednem słowem, nie czuję się bezpieczną.. Tylu się tu włóczy po nocy żołnierzy... Pijani, rozwydrzeni...

— Tak — rzekłem — może masz słuszność... Lepiej się mieć na baczności. Dam ci rewolwer.

Oprócz oficerskiego browninga, nosiłem zawsze przy sobie kieszonkowy pistolet, fabryki francuskiej, płaski, nadzwyczaj pewny i szybko działający. Podałem go jej w futerale z popielatej skóry.

— Ach! jakiż prześliczny! — zawołała, wyciągając go z pochwy.— Istne cacko.

— I precyzyjny. Możesz nim zabić człowieka na odległość trzydziestu kroków. Nie chybi.

— Nauczysz mnie pan, jak się z nim obchodzić?

— Kiedy zechcesz.

— Zaraz.

Pokazałem Julince, jak się nabija i strzela... Wystrzeliłem pięć kul z magazynu, poczem ona pod moim kierunkiem wystrzeliła dziesięć dość zręcznie, biorąc za cel pień drzewa.

— A gdyby cię kto zaczepił — rzekłem — nie wahaj się i pal mu prosto w łeb, zwłaszcza jeżeli to będzie żołnierz.

Po upływie półgodziny, Julinka oświadczyła, że już umie dosyć. Była zachwycona.

— Gdy wyczerpiesz zapas amunicji—rzekłem—dostarczę ci więcej ładunków. Ale spodziewam się, że ci nie będą potrzebne.

Podziękowała mi gorąco.

— W nagrodę — rzekła — wezmę pana jutro za partnera na tennisie Jego Cesarskiej Wysokości.

. . . . . .

Wróciłem do Stenay trochę pocieszony. Nie udało mi się wprawdzie nawiązać zbliżenia z Julinką, ani doprowadzić do wyjaśnień jej postępowania względem mnie; ale przynajmniej upewniłem się, że moja kochanka nie żywi względem mego cesarskiego rywala uczuć, o jakie ją podejrzywałem. Jeżeli, jak tego byłem pewny, Julinka padnie mu dobrowolnie w objęcia, nie będzie to z miłości, ale może dla fantazji, a najprawdopodobniej przez próżność. To mi przyniosło ulgę. Nie wszystko więc jeszcze było stracone... Kronprintz przy swem zmiennem usposobieniu, prędzej, czy później, przesyci się tą nową zdobyczą... a wtedy... kto wie...

Niestety, nie na tem był koniec moich niepowodzeń!

Nazajutrz po owym tennisie, baron von Werthau wziął mnie na bok i powiedział:

— Mój drogi, mam dla ciebie niezbyt miłą wiadomość... prawdopodobnie będziesz odesłany na front... Willy widzi cię tu niechętnie... Wyobraża sobie, że to twoja obecność wstrzymuje pannę Rossignol od przekroczenia z nim Rubikonu.

— Niech i tak będzie — rzekłem, usiłując przyjąć z godnością ten nowy cios. — Jestem w służbie Jego Cesarskiej Mości i spełnię moją powinność tam, gdzie mnie poślą.

Von Werthau uścisnął mi rękę w milczeniu, a w dwa dni potem otrzymałem rozkaz udania się do Damvillers, pod komendę generała von Lochow.

Zdobycie fortu de Vaux podniecilo zapał naszych armji. Po tylu straszliwych ofiarach, żadna nowa hekatomba nie zdawała się być zbyt kosztowną, byle tylko osiągnąć upragniony cel: opanowanie tego piekielnego Verdunu.

Ziemia pławiła się literalnie we krwi. Czterykroć sto tysięcy naszych żołnierzy padło już pod murami tej fortecy. Francuzi musieli stracić drugie tyle. Ośmkroć sto tysięcy ofiar rozwlokło swe wnętrzności po dymiącym ołtarzu Verdunu.

A przez ten czas wesoły rzeźnik w swej rozkosznej Kapui Stenayu grał w tennisa, jeździł konno, kierował automobilem, prowadził na spacer swoje psy, całował swoje kochanki, pędził najprzyjemniejszy żywot pod słońcem, stroniąc od zetknięcia się z rzeźnią i zdala tylko przez lornetkę śledząc ze znudzeniem i niecierpliwością przebieg krwawego widowiska. Podczas gdy miljony jego bliźnich lało krew za niego, lub przez niego cierpiało, jęczało, konało z głodu i pragnienia, podczas gdy te miljony dusiły się, zarzynały, umierały i gniły, cesarski dziedzic Władcy Wojny pielęgnował swoją ćwiczoną w sportach osobę, namaszczał się wonnościami, ozdabiał palce pierścionkami i tonął w upojeniach miłości.

Tonął... z nią! z nią!.. moją Julinką... Ta myśl prześladowała mnie bezustanku, zamieniając mój pobyt w Damvillers w piekło... Dręczony bezsennością po całych nocach, wyobrażałem sobie, co się tam działo, może w Château des Tilleuls, we wspaniałej sypialni księcia... Widziałem przepyszne łoże pod jedwabnym, zielonym baldachimem, widziałem Julinkę w bieliźnie z rozpuszczonemi włosami, taką... jaką była owej nocy w Dun, kiedy mi się po raz pierwszy oddała... O! męczarnio tego wspomnienia!

Pewnego wieczora, trzeciego po mojem przybyciu do Damvillers, nie mogąc dłużej znieść tej niepewności, wskoczyłem do furgonu, toczącego się w kierunku Dun, sam nie wiedząc, czego chcę, dokąd dążę, i wysiadłszy w Milly, odbyłem resztę drogi piechotą.

Ciemno było zupełnie, gdy z nieopisanem wzruszeniem dostrzegłem zarysy tego samotnego domku, w którym takie niezapomniane przeżyłem chwile. Zwolniłem kroku.

Przed drzwiami stał automobil księcia, a za węgłem majaczyły sylwetki dwóch ludzi, jakby stojących na czatach.

Wyminąłem ich, poczem, uszedłszy jakieś sto kroków, skręciłem w bok i na przełaj drąc się przez krzaki nadrzeczne, dotarłem do ogrodu. Przesadziłem niski parkan i zwolna skierowałem się ku domowi. Tonął w ciemnościach, tylko dwa okna pokoju Julinki, wychodzące na taras, były oświetlone.

Wydało mi się, że jacyś ludzie snują się po ogrodzie.

Przystanąłem mimowoli, wytężając wzrok; wtem elektryczna latarka błysnęła nagle o dwa metry odemnie, oblewając mnie swem błękitnem światłem, i wnet ochrypły głos zaskrzeczał:

— Ach! to pan! *Herr Oberleutnant!*

W półcieniu, jaki rzucało światło latarki, zamajaczyła ohydna twarz Kleina dwuznacznie uśmiechnięta.

— Co pan tu robisz? — zawołałem, drgnąwszy mimowoli na całem ciele.

— Mów pan ciszej, proszę.

— Co pan tu robisz, Herr Klein?

— Jak pan widzi, *Herr Oberleutnant*, spełniam moją powinność i czuwam.

— Nie rozumiem.

— Wszystkie kochanki Kronprintza są strzeżone; panna Rossignol tak samo.

— Ona nie jest jego kochanką — wykrztusiłem.

— Ale nią będzie — rzekł, zaśmiawszy się cynicznie wstrętny zbir. — Ale niech to panu nie przeszkadza wrócić do siebie, *Herr Leutnant*, gdyż przypuszczam, że tu jesteś pan jeszcze u siebie — dodał chytrze.

— Jestem u siebie — odparłem. — Dobranoc.

Latarka zgasła. Skierowałem się w stronę mojego pokoju i kluczem, który miałem przy sobie, otworzyłem szklane drzwi, prowadzące na taras.

Wszedłem dziwnie wzruszony. Smuga światła leżała na tonącej w mroku podłodze. Ta smuga pochodziła ze szpary w ścianie, dzielącej mój pokój od pokoju Julinki. Wyrwał ją kiedyś prawdopodobnie jakiś granat i, rzecz dziwna, nikt w domu tego nie zauważył. Ale odkryły ją zaraz po mojem wprowadzeniu się rysie oczy mego ordynansa Schmutza, a ja korzystałem z niej często, śledząc niedomyślającą się niczego Julinkę. Teraz też podążyłem pocichu do mego obserwatorjum. Mogłem widzieć w ten sposób znaczną część pokoju, jedno okno i połowę szklanych drzwi.

Julinka stała pośrodku w kapeluszu i płaszczu od kurzu, gotowa do drogi.

Państwo Lormeau cisnęli się do niej w postawach błagalnych.

— Moje biedne dziecko! Moje biedne dziecko! — jęczała pani Lormeau.

— Moje postanowienie jest niecofnione — wymówiła Julinka spokojnym, nieco twardym głosem.

— Julinko! dziecko drogie!.. poczekaj jeszcze trochę — prosił wuj.

— Już i tak zbyt długo czekałam. Od iluż to miesięcy przygotowywam to wszystko tak cierpliwie, tak drobiazgowo... Odkąd ten oficer tu zamieszkał, powzięłam ten zamiar... bo wydał mi się możliwym do przeprowadzenia... Ileż ofiar musiałam ponieść! Ile wstrętów przezwyciężyć!.. A teraz, kiedy już jestem u celu, miałabym się go wyrzec!.. Nigdy! — krzyknęła z dziką energją.

Dalszy ciąg nastąpi.